



3 „Mój Anioł Stróż”

Mówi się, że Polska ma sześciu noblistów w dziedzinie literatury – ostatnio grono to powiększyło się o Olgę Tokarczuk, którą uhonorowano za misterną pracę ze słowem. A więc policzmy, jeszcze raz, dokładnie: Olga Tokarczuk, Wisława Szymborska, Czesław Miłosz, Władysław Reymont, Henryk Sienkiewicz... Co zatem stało się z tym szóstym? No cóż, ten szósty to polski noblista bez Nobla. I nazywa się Tadeusz Różewicz.

6 Sceptycyzm wobec sceptyka

Na spotkanie z interesującymi ludźmi należy przyjść odpowiednio przygotowanym. Mieć gotowe notatki i wiedzę na temat gościa. Przyznaję, że na tej płaszczyźnie mogłem postąpić wręcz nieodpowiedzialnie, jednak ta swoista czystość pozwoliła mi mocniej przeżyć wykład profesora Jana Hartmana, który miał miejsce na początku października na Politechnice Wrocławskiej. A może nie było go?

8 5 pytań do prof. Jana Hartmana

- Autorytetami stają się ludzie wtedy, kiedy coś mądrze mówią i coś wartościowego robią. Autorytety ustawione oficjalnie zwykle są pozorne, a ci, którzy robią rzeczy mądre i słuszne, zwykle same znajdują posłuch. Nikt się nie staje elitą, dlatego że włoży biało-czarny strój, purpurową czapkę albo zieloną – powiedział prof. Jan Hartman w rozmowie z dziennikarzami „Politechnika Junior”.

11 Melodia białych nocy

Samolot gwałtownie się zniżył, gdy znaleźliśmy się nad Zatoką Fińską. Przedarł się przez kaskady chmur i zakołował nad pasmem autostrady, które wyłoniło się z morza. Wybrzeże było oświetlone setkami lamp, jakby ktoś specjalnie pozapalał je na nasze przybycie.

19 Porozmawiajmy o kłownach

Jedną z najgłośniejszych premier filmowych tego roku jest bez wątpienia „Joker” Todda Philippsa z Joaquinem Phoenixem w roli głównej. Obraz opowiadający o jednym z najbardziej znanych przeciwników Batmana doczekał się wielu głosów zarówno pochwalających, jak i krytykujących. Razem z moim serdecznym przyjacielem, Piotrkim Tomaszewskim, równie zafiksowanym na punkcie sztuki filmowej, postanowiliśmy przeanalizować go i odnieść się do krytyki i zarzutów w jego kontekście.

„Mój Anioł Stróż”

Mówi się, że Polska ma sześciu noblistów w dziedzinie literatury – ostatnio grono to powiększyło się o Olgę Tokarczuk, którą uhonorowano za misterną pracę ze słowem. A więc policzmy, jeszcze raz, dokładnie: Olga Tokarczuk, Wisława Szymborska, Czesław Miłosz, Władysław Reymont, Henryk Sienkiewicz... Co zatem stało się z tym szóstym? No cóż, ten szósty to polski noblista bez Nobla. I nazywa się Tadeusz Różewicz.

Ja, jeden z wielu

Różewicz zawitał do Wrocławia po wojnie i stał się jego częścią, bo, choć czasem wyjeżdżał tworzyć pod Warszawą, to pozostał wierny stolicy Dolnego Śląska. Zaczynał przy ulicy Glinianej w małym mieszkaniu. Potem poetę można było spotkać na Borku, gdzie mieszkał w jednej z czynszowych kamienic. Na początku stulecia otrzymał od miasta domek na Sępólnie i tam już został do końca. Wrocławskie plenery przewijają się w poezji Różewicza. Za pomocą słów uwieczniał swoje spacerunki i spadanie liści z drzew w parku Południowym czy nawet powódź w roku 1997 i ratowanie zwierząt z wrocławskiego zoo.

Kogo nie ma, niech się zgłosi

Czy to paradoks? A może zrzędzenie losu? Nie mnie to oceniać. W każdym razie szkoła położona tak blisko wspomnianego zoo stała się organizatorem konkursu o twórczości Tadeusza Różewicza – w tym roku jubileuszowego, bo dziesiątego. Już we wrześniu poezja wrocławskiego noblisty bez Nobla przejęła jedną ze szkolnych klatek schodowych, a na sztalugach i w klasach można było oglądać obrazy uczniów biorących udział w kategorii plastycznej. Wydawało się, że Różewicz, choć nieobecny od kilku lat, dalej jest pośród nas.



Niebieskie linie i inne zielone róże

„Mój Anioł Stróż jest stary wystraszony/jest w gorszych opałach ode mnie/stchórzył schował głowę pod skrzydło/cóż nie jest Michałem Archaniołem. Scharakteryzuj oblicza współczesnego świata, odwołując się do cytatu oraz do całej twórczości Tadeusza Różewicza”. Przed takim wyzwaniem pisarskim stanęli uczestnicy X edycji konkursu „Mag Słowa”. Czy podołali?

O tym przekonano się 18 września, kiedy odbyła się Gala Laureatów. Jej pierwsza odsłona miała miejsce w siedzibie Dolnośląskiej Biblioteki Publicznej – współorganizatora konkursu. Tam ogłoszono wyniki części recytatorskiej, której tegoroczny wymiar zadziwił nie tylko uczestników, ale i koordynatorów. Zmagania przerodziły się bowiem w kreatywne warsztaty aktorskie pod okiem jednego z jurorów. Kiedy tak, podczas gali pisarskiej i plastycznej, miałam okazję wysłuchiwać interpretacji laureatów, myślałam sobie, że to, co zrobili oni, byłoby dla mnie niemożliwe. Bo jak na przykład zaakcentować, że nieskończoność w świetle lamp filujących była nieskończona?

Może przez powiedzenie „nieskończonaaa”?

**MAŁGORZTA
WIECZORKIEWICZ – 1 A**

MAG SŁOWA

edycja nr 10

Część recytatorska

1. Adam Chromiec - XIV Liceum Ogólnokształcące
2. Michał Kucharski - Akademickie Liceum Ogólnokształcące Politechniki Wrocławskiej
3. Maria Grąciak – Szkoła Podstawowa nr 34 i Felicja Stechnij – IV Liceum Ogólnokształcące

Wyróżnienia:

- Paweł Grzymkowski – IX Liceum Ogólnokształcące
Julia Kończak – XIV Liceum Ogólnokształcące
Bartosz Kosiński - Akademickie Liceum Ogólnokształcące Politechniki Wrocławskiej
Maria Maciejewska – XIV Liceum Ogólnokształcące
Dominika Maszko - XIV Liceum Ogólnokształcące
Przemysław Schmidt - Akademickie Liceum Ogólnokształcące Politechniki Wrocławskiej
Marcin Weron - Akademickie Liceum Ogólnokształcące Politechniki Wrocławskiej

Część pisarska

1. Paweł Grzymkowski – IX Liceum Ogólnokształcące i Małgorzata Wieczorkiewicz – Akademickie Liceum Ogólnokształcące
2. Agnieszka Listwan – VII Liceum Ogólnokształcące
- 3: Amelia Maj - XIV Liceum Ogólnokształcące

Część plastyczna

1. Amelia Kamuda - IV Liceum Ogólnokształcące
2. Nikita Głowacka - IV Liceum Ogólnokształcące i Maria Lepkowska - XIV Liceum Ogólnokształcące
3. Antonina Hejno - Szkoła Podstawowa "Primus"



Sceptycyzm wobec sceptyka

Na spotkanie z interesującymi ludźmi należy przyjść odpowiednio przygotowanym. Mieć gotowe notatki i wiedzę na temat gościa. Przyznaję, że na tej płaszczyźnie nie mogłem postąpić wręcz nieodpowiedzialnie, jednak ta swoista czystość pozwoliła mi mocniej przeżyć wykład profesora Jana Hartmana, który miał miejsce na początku października na Politechnice Wrocławskiej. A może nie było go?

Temat z pozoru wydawał się prosty. Czego można się spodziewać od sceptycyzmu? Okazuje się, że jest z nim jak z łyżką z "Matrixa". Nie jest tym, czym się wydaje. O prof. Hartmanie wiedziałem (i wiem) niewiele. Jedynie, że jest dość kontrowersyjną figurą w niektórych kręgach. Że jest wykładowcą filozofii. Że jest powiązany z takimi i takimi uczelniami. Podczas wykładu Profesor zasugerował, że dowiemy się, czy jest nieśmiertelny, dopiero gdy umrze.

To prawda, że profesor ma skłonności do perorowania i gadulstwa. Ale można go w zasadzie słuchać godzinami. Bije od niego inteligencja oraz niecodzienny rodzaj charyzmy. Jest niemalże jak krzyżówka Sokratesa z Diogenesem. Stara się dociekać, zgłębiać istotę wszechrzeczy, ale i nie bać się wygłaszać niewygodnej wręcz treści.



Sam wykład był dość trudny, często spekulacje przekraczały granice czasu i przestrzeni oraz znacznie odchodziły od głównego tematu. Wykład niczym woda w Amazonce rozdzielała się w delcie, ale wpadała do oceanu i przez chmury docierała z powrotem do źródła.

W telegraficznym skrócie - profesor mówił o Kartezjuszu i o tym, że wszystko jest iluzoryczne.

Podobne stwierdzenie usłyszymy od osoby, która przekartkuje "Wojnę i pokój" Tołstoja i stwierdzi, że to o Rosji. Profesor Hartman poruszał także temat stanu edukacji, inteligentnego krytycyzmu, przejawiania szacunku wobec osób o odmiennych poglądach. I nie

ukrywam, że rozczarowało mnie, jak bardzo zgodni jesteśmy w części poglądów. System kształcenia wymaga korekty znaczącej. Mogę teraz wzorem profesora Hartmana spekulować nad zbędnością oceniania, ale to nie jest teraz istotne.

Odniosłem wrażenie, że jego wystąpienie mogło wywołać poruszenie. Pojawiło się wiele pytań od uczniów, często odwołujących się do pewnych "uniwersalnych" ich zdaniem wartości. Dostawali odpowiedzi często bardzo obszerne i wyczerpujące.

KACPER KOWALSKI – 3 A

PS. „Politechnik Junior” przeprowadził rozmowę z profesorem Hartmanem o życiu, śmierci i całej reszcie (czytajcie w rubryce 5 pytań do...).



5 pytań do...

Prof. Jana Hartmana

- Autorytetami stają się ludzie wtedy, kiedy coś mądrze mówią i coś wartościowego robią. Autorytety ustawione oficjalnie zwykle są pozorne, a ci, którzy robią rzeczy mądre i słuszne, zwykle same znajdują posłuch. Nikt się nie staje elitą, dlatego że włoży biało-czarny strój, purpurową czapkę albo zieloną – powiedział prof. Jan Hartman w rozmowie z dziennikarzami „Politechnika Junior”.

KACPER J. KOWALSKI: - Tytułem wstępu, chciałbym powiedzieć, że bardzo mi się podobał wykład. Można odnieść wrażenie, że przełamujemy fale, by tańczyć w ciemnościach. W takim wypadku, czy warto wierzyć w istnienie jakiegoś absolutu?

PROFESOR JAN HARTMAN: - Proszę pana, absolut jest od tego, żeby się do niego odnosić poważnie. Nie wiem, czy słowo wiara najlepiej wyraża stosunek do absolutu. Na pewno, nie jest rzeczą poważną wyobrazić sobie absolut po dziecinnemu w postaci jakiegoś króla, ojca, Pana, boga na podobieństwo żaby, psa, człowieka czy czegośkolwiek innego. Wobec absolutu trzeba zachować powagę i po-wściągliwość. Nie wiem, czy właśnie słowo wiara jest właściwe. Myślę, że lepiej jest mówić o pewnym wysiłku, koncentracji na absolutie jako problemie. Powiedzenie, że absolut istnieje, niczego nie wnosi. Równie dobrze można powiedzieć, że absolut jest zły albo nie istnieje, to znaczy nie jest taki jak byt, nie jest po prostu bytem, nie jest bytem samym w sobie czy bytem absolutnym, bo każde określenie jest ułomne. Każdy ten sposób odnoszenia się do absolutu, w tym myślenie rozważające, myślenie pojęciowe, jest ułomne, co nie znaczy, że przeciwieństwem tego sto-sunku jest pojęcie wiary, i że to słowo jest lepsze niż poznanie. Absolut jest wyzwaniem i trzeba zachować w nim powagę. Na pewno człowiek, który poważnie traktuje absolut, nie może oddawać się naiwnie jakiejś archaicznej mitologii.

MAŁGORZATA WIECZORKIEWICZ: - A jak scharakteryzowałby nas, Polaków, nas jako naród w odniesieniu do filozofii? Jakie są nasze cechy, nasze główne wartości?

PROF. HARTMAN: - Przede wszystkim jesteśmy dotknięci aroganckim nihilizmem, rozczarowaniem, sceptycyzmem. Uważamy, że świat stoi fałszem, że w związku z tym liczy się tylko życie prywatne, które trzeba przeżyć najbardziej komfortowo i przyjemnie. Bezideowość, nihilizm idzie o lepsze z mitomanią, pychą, popkulturowym bałamuctwem, zacofaniem, które się wyraża w poczuciu wyjątkowości, wyższości. Tym wszystkim jest naród polski dotknięty przez to, że rozwijał się w dużej izolacji od centrów kulturowych, od Zachodu i jakby zadaniem elit jest przewyciężenie tego. Zarówno kompleksów jak i cech nieprzyjemnych, jak pycha, resentyment, bardzo powierzchowna i formalna ideowość, deklaratywna z bezideowością, samozadowoleniem i poczuciem, że wszystko jest kłamstwem. To są bardzo ciężkie przywary i tylko bardzo mocne elity są w stanie przewyciężyć wpływ oficjalnych instytucji i wyrzucić pozytywny wpływ na społeczeństwo. Każde kolejne pokolenie młodzieży daje dorosłym szansę, że się ich uchroni przed tym, że popadną w tę pułapkę resentymentu, pychy, szowinizmu i prowincjonalizmu umysłowego, który w Polsce jest nam wprowadzany do życia publicznego.

KJK: - Czy przez elity rozumie Pan też między innymi autorytety?

PROF. HARTMAN: - Autorytetami stają się ludzie wtedy, kiedy coś mądrze mówią i coś wartościowego robią. Autorytety ustawione oficjalnie zwykle są pozorne, a ci, którzy robią rzeczy mądre i słuszne, zwykle same znajdują posłuch. Nikt się nie staje elitą, dlatego że włoży biało-czarny strój, purpurową czapkę albo zieloną. Nie jest elitą, bo dostał tytuł profesorski. Nie ma żadnych kryteriów zewnętrznych gwarantujących elitarność. To jest tak, jak z piękną dziewczyną. Jak ktoś jest mądry, rozumny, inteligentny, sprawiedliwy, to po nim to widać. Tak jak po pięknej dziewczynie, że jest piękna. Nie ma problemu z kryteriami elitarności, bo same się pokazują, a społecznym kryterium jest to, że ciągle są atakowane. Są tacy, którzy wskazują na nie i mówią: "Oto są samozwańcze, fałszywe elity", i wiadomo, że to są elity, bo wiadomo, że by się nimi nie zajmowali. Zawsze są one podważane, kwestionowane, bo zawsze są jakoś autonomiczne, wyemancypowane, antysystemowe i zagrażają władzy. Nawet w bardzo demokratycznych, liberalnych krajach. Są niepopularne elity, niepopularne przez system, establishment. A są kraje, które ledwo demokracji liznęły i idą do domu, jak Polska, w nich elity są wręcz nienawidzone.

KJK: - Czy boi się pan śmierci?

PROF. HARTMAN: - Jestem w takim wieku, w którym zaczyna człowiek dopiero myśleć o śmierci.

KJK: - To istnieje taki wiek?

PROF. HARTMAN: Tak, myślę, że człowiek po pięćdziesiątce zaczyna trochę więcej myśleć o śmierci, a potem coraz więcej i więcej. Oswaja się z tym, że jego życie będzie miało kres, no i uczy się nie bać. Kiedyś się mówiło, że filozofia to jest sztuka umierania, czyli wyzbywania się lęku przed śmiercią.



Opinie uczestników wykładu

Marek Schubert: - Wykład był dość ciekawy, a Profesor poruszył wiele ważnych tematów, np. zdiagnozował stan polskiej szkoły i przedstawił zmiany zachodzące na Zachodzie mające wpływ także na nas. Podobało mi się to, że można było zadawać pytania i otrzymać wyczerpującą odpowiedź.

Julia Zablotni: - Pan Profesor w przystępny sposób tłumaczył skomplikowane zagadnienia filozoficzne. Zwrócił uwagę, że sceptycyzm jest pewną formą obrony przed krytyką z zewnątrz, ponieważ pozwala przewidzieć zarzuty stawiane teorii jeszcze przed jej wygłoszeniem. Ponadto Profesor zauważył, że dzisiejsza szkoła nie jest szkołą życia, tylko narzędziem propagandy państwa.

Maciej Proćków: - Idea sceptycyzmu jest dziś czymś rzadko spotykanym. Zaciekały mnie te wątki, w których Pan Profesor porównywał naukę w szkole do nauki akademickiej.

Bogdan Rychlikowski: - Wykład był ciekawy, ale laikowi mojego pokroju ciężko było zrozumieć filozoficzny żargon.

Krzysztof Nowak: - Zafascynowała mnie możliwość powstania wielkich dzieł na podstawach nicości, zwątpienia. Zaintrygowała mnie także dyskusja nt. ograniczeń poznawczych ludzkiego umysłu. Pan Profesor nakreślał szerokie horyzonty filozoficzne i historyczne, co sprawiało, że prezentowane treści były przyswajalne.

Wiktoria Jarzab: - To był pouczający wykład. Zwróciliśmy uwagę na pytania, nad którymi na co dzień nie mamy czasu się zastanawiać. Jedynym problemem był trudny język, jakim posługiwał się Profesor.



Melodia białych nocy

Samolot gwałtownie się zniżył, gdy znaleźliśmy się nad Zatoką Fińską. Przeszedł przez kaskady chmur i zakołował nad pasmem autostrady, które wyłoniło się z morza. Wybrzeże było oświetlone setkami lamp, jakby ktoś specjalnie pozapalał je na nasze przybycie.

To białe noce - powiedział jeden z siedzących obok mnie nowych znajomych - Już są. Wychyliłam się, żeby zobaczyć trochę nieba przez maleńkie okienko, bo siedziałam przy samym wyjściu na korytarzyk samolotu.

Tak, w istocie granatowe niebo powoli jaśniało. Pojawiały się na nim malinowe i białe refleksy, jakby ktoś zaczął malować obraz. W dole błyszczała granatem szeroka wstęga Newy, mosty były podniesione, a dachy niektórych budynków skrzyły się złotem w świetle księżyca.

Samolot jeszcze bardziej się zniżył. Wtedy poczułam ciśnienie rozsadzające od środka bębenki w moich uszach. Lotnisko Pułkowo zbliżało się z każdą chwilą, a ja nagle straciłam poczucie pewności.

Czy wszystko pójdzie tak, jak to zaplanowano? Czy dobrze zrobiłam, decydując się na tę wyprawę?

I czy to normalne, że teraz tak bardzo wcisnęło mnie w fotel?

Zamknęłam z całej siły oczy i ścisnęłam mocno podłokietnik.

Samolotem wstrząsnęło szarpnięcie.

Gdy podniosłam powieki, zobaczyłam, że właśnie wylądowaliśmy na petersburskiej ziemi.

Kocham cię, o grodzie Piotrowy...

Sam początek był chyba najtrudniejszy ze wszystkich, jakie przeżyłam. Nie dość, że miałam polecieć do Petersburga oddalonego o 1500 kilometrów od Wrocławia, to jeszcze bez

żadnych znajomych. Ludzi, z którymi miałam spędzić najbliższe 15 dni, poznałam dopiero na lotnisku Kopernika w moim mieście 20 czerwca. A to był mój pierwszy lot samolotem w życiu. Przecież znacznie gorzej jest wtedy panikować wśród obcych niż ze „swoimi”.

Jedyne, co wiedziałam o moich nowych znajomych, to tylko tyle, że wszyscy byli również miłośnikami historii i sztuki - inaczej nie zostaliby laureatami Dolnośląskiego Konkursu Wiedzy o Rosji „Białe Noce”. Główną nagrodą, prócz punktów do liceum, był wspólny wyjazd do Petersburga. Oczywiście z opiekunami.

Pierwszy dzień po dotarciu do celu zaczął zbyt wcześnie, bo wstaliśmy o dziewiątej, podczas gdy do ośrodka w Lisim Nosie dotarliśmy przed trzecią w nocy. Zasnęłam dopiero o czwartej nad ranem, gdy udało mi się dopchać dwie walizki do pokoju, ubrać pościel i jeszcze pogadać ze współlokatorkami.

Dobudzić się z letargu spowodowanego zmianą klimatu i kompletnym niewyspaniem było mi naprawdę ciężko - ale gdy tylko zobaczyłam historyczne centrum Petersburga, rozumiałam, że: „Gośka, czas się ogarnąć”. I naprawdę opłacało się, bo bardzo szybko rozumiałam moje szczęście w tym wszystkim. Miałam okazję poznać „Pietra” od strony zupełnie innej niż mogliby moi znajomi ze szkoły. A przy tym zrozumieć, że Sankt Petersburg już na zawsze pozostanie w moim sercu.

Parada gwiazd

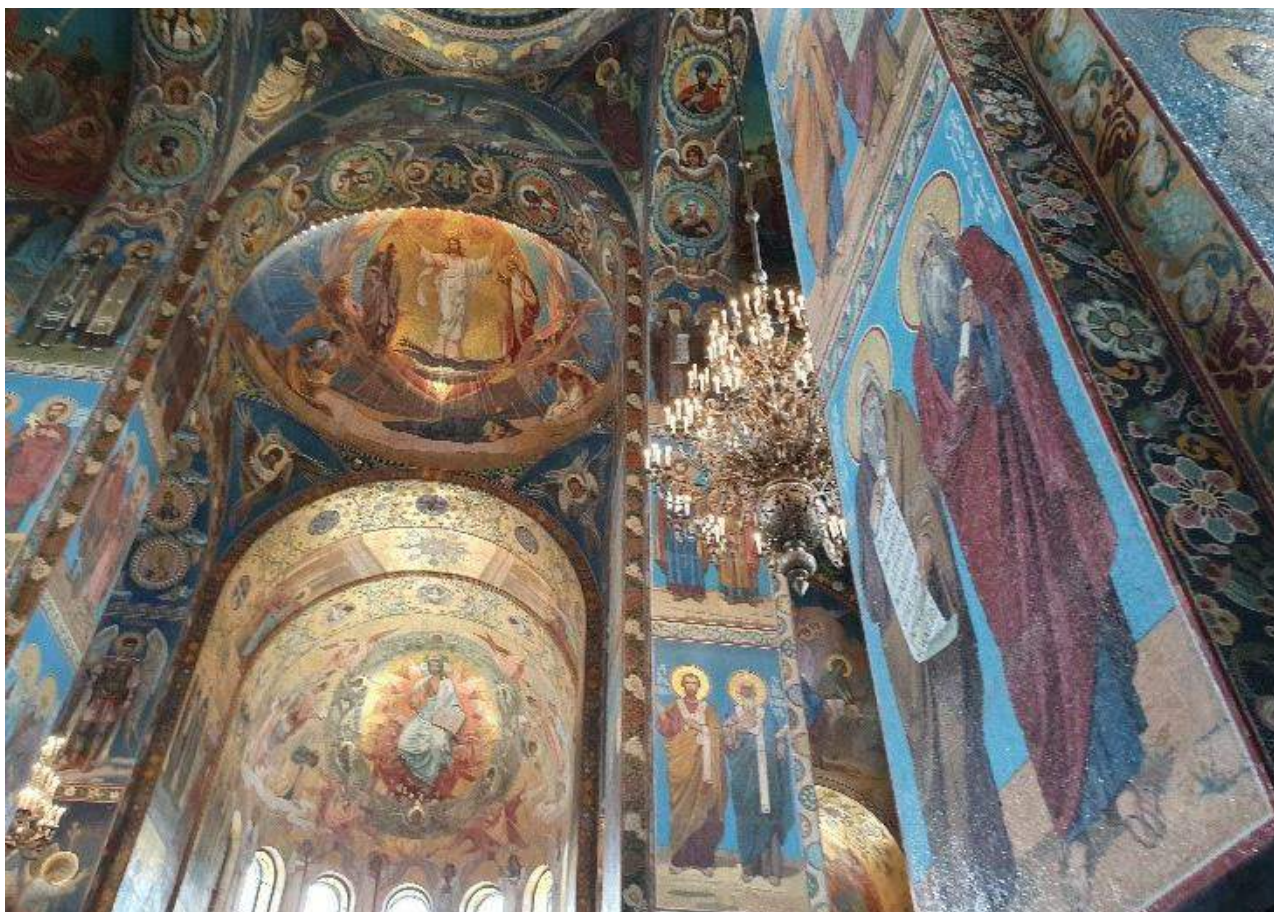
Jeśli miałabym podać jeden powód, przez który zostałam laureatką „Białych nocy”, to bez wątpienia wybrałabym „Anastazję” 20th Century Fox z 1997 roku. Fikcyjna historia cudownie ocalałej z mordu na Romanowach carewnej Anastazji Nikolajewnej wychowanej w sierocińcu (jako Anya), która postanawia odzyskać pamięć i odnaleźć rodzinę. Jej los krzyżuje się z dwójką mężczyzn, którzy chcą znaleźć tytułową Anastazję i zdobyć carski depozyt przechowywany w paryskim banku.

Sobór świętego Izaaka, Twierdza Pietropawłowska, mój ukochany Sobór na Krwi (tak, tutaj można mówić o miłości od pierwszego wejrzenia)... To tylko część zabytków Petersburga, które miałam okazję zwiedzić w ciągu ponad dwóch tygodni. „Pietr” to ich jedno wielkie skupisko i wcale nie przesadzi się, jeśli nazwie się go Rosyjską Stolicą Kultury. Już sama liczba teatrów mówi za siebie, bo jest ich około 80, a najślawniejsze z nich to Teatr Maryjski, Aleksandryjski i Michajłowski (to właśnie w nim obejrzałam balet „Dziadek do

orzechów”). Tak samo z mostami - nie bez powodu nazywa się przecież Petersburg Wenecją Północy. Położony na kilkudziesięciu wyspach połączonych 396 mostami, z czego 14 jest zwodzonych. Widokiem, który zdobył sławę na całym świecie, jest nocny obraz Newy i oświetlonego, podniesionego mostu. Jeśli zobaczycie kiedykolwiek coś takiego na zdjęciu, wiedźcie, że to przebłyski z Petersburga docierają do waszych oczu.

Bajka we wszystkie dni

Pietr z każdej strony bombarduje nas przepychem, złotem, mozaikami i po prostu pięknem. To właśnie dlatego najbardziej spodobał mi się Sobór na Krwi - ze swoimi pastelowymi kopułami wygląda jak wyjęty z baśni o Starorusi. Tak naprawdę największe wrażenie robi jego wystrój w środku - pierwsze, co rzuca się w oczy, to mozaiki. I to nie byle jakie. Wszystkie ściany są wyłożone milionami małych kolorowych szkiełek. W sumie zajmują one całkowitą powierzchnię prawie 6600 m². Tak naprawdę trudno pozbyć się wrażenia, że jest się nieustannie obserwowanym. I ma się wtedy rację, bo mozaiki przedstawiają głównie świętych oraz biblijne sceny.



Większość carskich pałaców jest ciągle w remoncie, by wrócić do dawnej świetności zniszczonej przez czasy komunizmu. Dwoma z nich są Carskie Sioło i Peterhof. Ten ostatni jest świadectwem nieśmiertelnego poczucia humoru Piotra Wielkiego. W tamtejszych ogrodach można natknąć się, często przypadkiem, na Fontanny Żartownisie, dlatego warto zawsze zabrać ze sobą koszulkę na zmianę. Najlepiej jednak uważać przy wychodzeniu z grot Peterhofu umieszczonych pod pałacem - wychodzących turystów lubi przyatakować strumień wody, lejący się z sufitu zaraz przy portalu na zewnątrz. Na szczęście miałam przy sobie wtedy parasolkę, bo nigdy nie wiadomo, kiedy woda postanowi Cię oblać.

Jednak spośród pałaców moje serce najbardziej skradł Pałac Chiński, czyli dacza (letnia rezydencja) carycy Katarzyny II. Ewidentnie jest dowodem na słuszność powiedzenia, że małe jest piękne. Zachwycił mnie kunsztownością zdobień, przepychem i swoim wdziękiem. Za jego sprawą rokoko zajęło pierwsze miejsce w rankingu moich ulubionych stylów architektonicznych.

Odbicie skarbu z dna Newy

Dzięki temu wyjazdowi miałam okazję uczestniczyć w wydarzeniach, które dla samych mieszkańców Petersburga mogą być nieosiągalne. Razem z innymi uczestnikami, wśród których szybko się zaaklimatyzowałam, zobaczyliśmy koncert dla maturzystów i byliśmy świadkami uroczystości „Szkarłatne Żagle”. Te dwa wydarzenia wspominam właśnie najlepiej. Pierwsze dlatego, że ludzie, którzy choć nie znali się za dobrze, umieli znaleźć to, co ich łączy i spontanicznie bawić się przy porywającej muzyce. Drugie zachwyciło mnie pokazem sztucznych ogni i paradą statku o szkarłatnych żaglach. Obie uroczystości były zorganizowane z rozmachem.

Prócz tego mieliśmy 32 godziny lekcji języka rosyjskiego. Do Petersburga jechałam tylko z niewielką znajomością cyrylicy. Wróciłam „zrusyfikowana”, bo jeszcze dwa dni po powrocie do domu zdarzało mi się czytać H jako N i B jako W.

Popołudnia upływały nam na spotkaniach z Rosjanami w naszym wieku, którzy również nocowali w Lisim Nosie. Resztę czasu też wykorzystywaliśmy na swój sposób produktywnie. Wyjazd upłynął nam pod znakiem kultu jednostki, czyli „Bajkału” - rosyjskiej coca coli o smaku szyszek i zapachu sosnowego lasu (niektórzy wymieniają również sosnowy płyn do podłóg), którą często piliśmy na spotkaniach.

Kiedy zapytałam moich znajomych, co najlepiej wspominają z tego wyjazdu, padały jednoznaczne odpowiedzi: kasza, prysznic i oczywiście „Bajkał”. Z kaszą wiąże się o tyle monotonna historia, że codziennie rano dostawaliśmy ją ugotowaną na mleku na śniadanie. Kiedy nadszedł czas powrotu, zdałam sobie sprawę, co się stało. Przywiązałam się do zupełnie obcego miasta - nie mam w nim rodziny, nie byłam tam wcześniej na wakacjach. Ale tak chyba jest - kto raz odwiedzi Sankt Petersburg, Dumnego Białego Ptaka, nosi go w swoim sercu już do końca życia. Tak samo stało się ze mną. Spędziłam tam wspaniale dwa tygodnie z niesamowitymi ludźmi, pełne przypałów, targowania się ze sprzedawcami pamiątek, picia „Bajkału” i wielu, wielu innych wspomnień, które na zawsze pozostaną w mojej pamięci.

“Miedziany pan wierzchowca

galopuje, atakuje

w pędzie spokój księżycu.

Nieważne, dokąd się kieruje

drogą, co szuka całą noc.

Biednego człeka prześladuje

miedzianych kopyt stuku moc.”

MAŁGORZATA WIECZORKIEWICZ – 1 A

*W tekście wykorzystano fragmenty utworu „Mias-
to na Newie” zespołu 7B oraz „Jeździec miedzianego” Aleksandra Puszkina według autorskiego tłumaczenia z języka angielskiego na polski (internet zawiódł po raz pierwszy).*

(zamieszczone zdjęcia są autorskie)

A chciałem tylko poczytać...

Czasem świat zdaje się robić wszystko przeciwko nam. Pewnego majowego dnia podczas wycieczki do CERNu, gdzieś na granicy szwajcarsko-francuskiej, p. Ludwikowski zachęcił mnie do przeczytania "Cząstek elementarnych" Gavina Hesketha.

Zapowiadało się atrakcyjnie – pozycja była jedną z nielicznych książek o fizyce napisanych żywym i przyjaznym językiem. Podobno mam tendencję do spóźniania się, ale nie przewidywałem, że prawie pół roku spędzę z jedną książką. A wszystko to za sprawą okropnych zbiegów okoliczności, które doprowadziły mnie do zakwestionowania korzystania z ebooków.

Przez dużą część mojego życia byłem zwolennikiem papierowych książek. Nie tyle istotne były zapach papieru, czynność przewracania kartki czy namacalność treści, ale raczej dostępność ebooków w Polsce i zaporowa cena zakupu czytnika. W pewnym momencie sytuacja na rynku zmieniła się na tyle, że zdecydowałem się na zakup Kindle'a. Liczba czytanych przeze mnie książek drastycznie skoczyła - wszystkie były zawsze ze mną na wyciągnięcie ręki, ważąc mniej niż zeszyt do polskiego.

Kilka tygodni później wymieniłem model na Kindle Paperwhite'a, który za wyższą cenę oferuje podświetlenie ekranu i większą rozdzielczość. Było ekstra. Odkryłem zupełnie nowy świat czytania w ciemności i przy słabym świetle. Książki przyjęły dla mnie postać bezwymiarowych bitów na dysku, gotowych do oświetlenia samych siebie. A potem przypadkiem trafiłem na Legimi.

Usługa dostępna jest dla wszystkich osób, posiadających konto w Bibliotece PWr i zapewnia

stały, Nielimitowany dostęp do bazy większości ebooków osiągalnych na polskim rynku. I co najważniejsze - użytkownicy nie ponoszą jakichkolwiek kosztów. Ma to duże znaczenie, bo ceny ebooków w Polsce niewiele różnią się od książek papierowych. O ile przez długi czas można było to tłumaczyć różnicą wysokości podatku VAT (na książki – 8 %, na ebooki 23) to niedawno stawki zostały wyrównane, a ceny ebooków w większości pozostały bez zmian.

Na pozór wydaje się, że kupując czytnik za kilkaset złotych, na dłuższą metę zwróci się to w kosztach zakupu książek. Nie byłbym tego taki pewien. Przykładowo wspomniane "Cząstki elementarne" w wersji papierowej kosztują 25,20 zł (PWN), a najtańszy ebook - 27,12 (Ravelo). I tu wkracza do akcji Legimi, bo książkę dostaniemy za darmo. Adresując wątpliwości - jest to całkowicie legalne, a koszty pokrywa uczelnia w porozumieniu z serwisem, który ma podpisane umowy z wydawnictwami.



Tu pojawił się pewien problem - biblioteczne Legimi działa tylko na czytnikach opartych o Androida, czyli Kindle nie wchodził w grę. Tak więc „Cząstki elementarne” zacząłem czytać na telefonie, ale to jest na tyle niewygodne, że szybko zdecydowałem się sprzedać Kindle i zakupić inkBOOKa Prime HD, kompatybilny czytnik polskiej firmy, żeby w całości przenieść się na Legimi. Wszystko zapowiadało się jeszcze lepiej - Prime HD ma możliwości Paperwhite'a i funkcję regulacji temperatury podświetlenia ekranu. Dzięki korzystaniu z zasobów Legimi koszty zakupu zwróciłyby mi się po kilkudziesięciu książkach.

Nie będę ukrywał - czytnik działał dość topornie. Przy rozpoczynaniu każdego rozdziału treść zastępował komunikat „wczytuję...”, a ja wychodziłem z siebie, powtarzając sobie w duszy „Spokojnie, Maks, myśl o darmowych książkach, warto poczekać”. Po tygodniu się przyzwyczaiłem i z przyjemnością przechodziłem do kolejnych rozdziałów „Cząstek elementarnych”.

Wyobraźcie sobie, jak czułem się niedługo potem, gdy wyciągnąłem inkBOOKa z plecaka i włączyłem go tylko po to, by powitał mnie rozbity ekran. Tu potrzebna jest mała wstawka techniczna - czytniki ebooków używają technologii e-ink, a nie LCD jak w większości urządzeń. Dzięki temu wyświetlacz symuluje papier, zużywa mniej baterii i nie męczy wzroku. Ale wadą jest niewątpliwie jego delikatność. Po rozbiciu ekran staje się w dużej części martwy i nie zmienia swojej zawartości. Nie pytajcie mnie, jak to się stało - do dzisiaj nie wiem, w jaki sposób go uszkodziłem.

Szybki odpowiedź z serwisu uświadomiła mi kolejny minus czytników. Wymiana była wyceniona na 349 zł, dokładnie tyle, ile zapłaciłem za urządzenie. Okazało się, że producent ma biuro we Wrocławiu i dostałem zniżkę za oddanie sprzętu osobiście, ale i tak zacząłem się zastanawiać, ile zajmie mi czytanie tych wszystkich darmowych ebooków, żeby mi się to zwróciło. Dość długo.

Po tygodniu dostałem sprzęt z powrotem. Wróciłem do domu i otworzyłem „Cząstki elementarne”. „Nareszcie, wreszcie doczytam o tych gluonach”, pomyślałem. Podniecenie nie trwało długo, bo przy pierwszej stronie odkryłem, że ktoś popełnił błąd przy wymianie

ekranu i pojawiły się na nim białe artefakty. Poprawka zajęła serwisowi kolejny tydzień, ale przynajmniej była w ramach rękojmi.

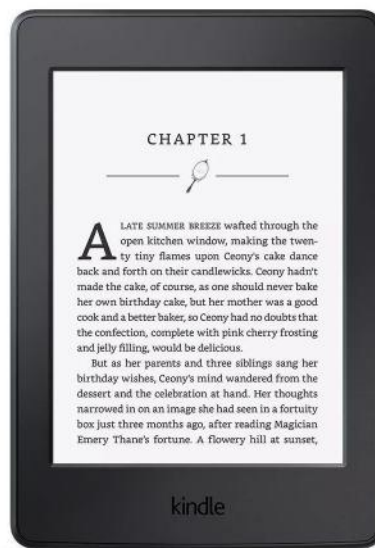
Finalnie z powrotem dostałem sprawny czytnik i kontynuowałem lekturę. Naprawdę chciałbym powiedzieć, że na tym historia się skończyła i krótko po tym dotarłem do ostatniej wirtualnej strony. Nic bardziej mylnego. Pewnego dnia uruchomiłem czytnik, oczekując aż książka się załaduje, wyświetli i otworzy. Chociaż moja cierpliwość po udrękach z tym sprzętem osiągnęła poziom iście anielski i czekałem naprawdę długo, książka się nie wyświetlała. Zniknęła. Nie było jej. Szybko okazało się, że pakiet Legimi wyczerpał się Politechnice i uczelnia w porę nie zdążyła go przedłużyć. Nikt nie wiedział, kiedy zostanie wznowiony, ale od kilku dni już działa.

Doczekałem do końca wakacji, po czym wreszcie dostałem szkolny identyfikator i znowu otworzyłem konto w CWINT (po zakończeniu gimnazjum zostało zamknięte). Pierwszą rzeczą, którą zrobiłem, była wyprawa do Biblioteki Fizyki i wypożyczenie egzemplarza „Cząstek elementarnych”. Papierowego...

MAKSYMILIAN SKICA – 1 D

Doczekałem do końca wakacji, po czym wreszcie dostałem szkolny identyfikator i znowu otworzyłem konto w CWINT (po zakończeniu gimnazjum zostało zamknięte). Pierwszą rzeczą, którą zrobiłem, była wyprawa do Biblioteki Fizyki i wypożyczenie egzemplarza „Cząstek elementarnych”. Papierowego...

MAKSYMILIAN SKICA – 1 D



W poszukiwaniu Atlantydy

Wrocław – nieustanna inspiracja dla artystów, plan zdjęciowy filmów opowiadających o czasach wojny, świadectwo nieśmiertelnego ducha przeszłości. A przede wszystkim: jedna wielka niewiadoma. Bo tak, oprócz niezliczonej ilości zabytków, mostów, kościołów, czynszowych kamienic i blokowisk z wielkiej płyty, Wrocławowi nie można odmówić jednego – jest taki jak Atlantyda.

Nie ma Breslau. Jest Wrocław

Żeby w ogóle zrozumieć istotę dolnośląskiej Atlantydy, na początku trzeba zauważyć jedno – Wrocław a Breslau to dwa różne miasta. Ich historie nieustannie się przeplatają, bo gdy rodzi się jedno z nich, drugie umiera. Powoli, cicho, w niemal niewidoczny sposób odchodzi do przeszłości.

Im częściej przegląda się stare pocztówki i zdjęcia, tym więcej różnic widać. Głównie polegają one na jednym, krótkim, ale charakterystycznym i gwałtownym zarazem cięciu w historii ludzkości, końcu II wojny światowej. Wtedy, zaraz po kapitulacji Festung Breslau, ostatniej twierdzy Hitlera, podpisanej 6 maja 1945 w Willi Colonia w dzielnicy Krieteren na południu miasta, powiedziano: „Breslau umarło.”

Narodził się Wrocław.

Ostateczny koniec

Trudno się z tym nie zgodzić, gdy Twoje miasto w niespełna pół roku zmienia się w jedno wielkie pogorzelisko, tonie w morzu gruzów i pyłu, a parki stają się cmentarzami. Przykłady? Jest ich sporo. Pod koniec Festung Breslau 90 procent kamienic przy Kaiser – Wilhelm – Strasse¹ praktycznie przestało istnieć. Zespół przedwojennych budynków, które dziś możemy oglądać przy placu Powstańców Śląskich to tylko niewielka część dawnej świetności jednej z najpiękniejszych głównych arterii w

mieście. Próżno szukać chociażby gruzów restauracji Friebeberg z parkiem i muszlą koncertową. Los tak chciał, że dziś w tym miejscu stoi biurowiec.

Kaiserstrasse² główny punkt Scheitniger Stern³, z polecenia dowództwa zmieniła się w zalany betonem plac, powstały w punkcie zejścia się sześciu ulic zastawionych rządками czynszowych kamienic. Karl Hanke, gauleiter Schlesien w 1945 roku, rozkazał wyburzyć pobliski ewangelicki kościół Marcina Lutra. Na jego miejscu wyznaczono pas startowy lotniska, z którego samolotem uciekli dowodzący Festung Breslau. Nawet oni, choć z początku głosili wzniosłe słowa o walce do ostatniego tchnienia, przestali wierzyć w powodzenie fanatycznej obrony twierdzy. Widzieli porażkę – porażkę Breslau i porażkę swoją.

W ferworze walk ogniem zajął się kościół św. Marii Magdaleny, ale najgorsze przyszło niedługo po zakończeniu wojny. Wybuch miny rozsadził południową wieżę. Siła pociągnęła za sobą na długą listę breslauerkich zniszczeń mostek czarownic i osławiony Dzwon Grzesznika.

Festung Breslau było ostateczną zagładą potęgi miasta na wschodzie Niemiec. Gruzy pogrzebały wiele zabytków, kamienic, wspomnień i planów. Na zawsze pogrzebały czasy świetności miasta, które już nigdy nie miało się odrodzić.

1 Kaiser – Wilhelm – Strasse – dziś ulica Powstańców Śląskich

2 Kaiserstrasse – nieistniejąca główna ulica idąca od Mostu Grunwaldzkiego przez Śródmieście. Prawdopodobnie przebiegała gdzieś po środku dzisiejszego Placu Grunwaldzkiego

3 Scheitniger Stern – rejon dawnego skrzyżowania sześciu ulic biegnących w różnych kierunkach.



Oko w oko ze zmianami

Wokół Breslau na początku 1945 roku zamknął się pierścień Armii Czerwonej. Trudno było, żeby niemieckie wojsko, które i tak już znajdowało się w rozsypce, mogło zaatakować sowieckie dywizje. Żołnierze Wehrmachtu i Volkssturmu, do którego rekrutowali się mieszkańcy Breslau, wierzący w sens obrony miasta, sami unicestwiali to, co było dorobkiem poprzednich pokoleń. Wysadzali punkty widokowe, tworzyli barykady z gruzów kamienic. Pewność przetrwania miały tylko budynki administracji publicznej, ale i to nie zawsze się sprawdzało. A może właśnie to była taktyka – zrujnować tak, żeby wróg nie miał czego zdobywać?

Wkrótce, po kapitulacji III Rzeszy, nadeszły kolejne zmiany. Wysiedlania Niemców, którzy w drodze na zachód mogli zabrać tylko tyle, ile zmieściło się na dziecięcy wózek – na ich miejsce przyjeżdżali repatrianci z kresów wschodnich oraz ludzie z centralnej Polski. Często dzielili mieszkania w ocalałych kamienicach z jedną lub dwiema innymi rodzinami, nie zawsze polskimi. Wszyscy szukali lepszego życia, które na początku w zniszczonym mieście oznaczało odgruzowywanie ulic, składowanie cegieł na odbudowę stolicy albo skazywanie na śmierć budynków, które nadawały się do odbudowy. Tak, pionierów i tych, którzy odważyli się przyjechać w kolejnych miesiącach, czekało wiele wyzwań.

„Ja miałem 22 lata. Przeżyłem całą wojnę. Większość z nas to byli akowcy. Myśmy byli przyzwyczajeni do wielu rzeczy, natomiast nie byliśmy przyzwyczajeni do widoków, które zastaliśmy tutaj” – mówi profesor Zdzisław Samsonowicz, jeden z wrocławskich pionierów, w rozmowie z Joanną Mielewczyk, autorką książki „Kamienice. Opowieści wrocławskich domów”.

To, co miało stać się Wrocławiem, mogło przerażać przybyszów. Nad ruinami, które były niczym w porównaniu z dawną potęgą i majestatem metropolii, unosił się dym, swąd spalenizny i fetor. Dawne kwartały kamienic były raczej kikutami i szkieletami, kompletnie nieprzypominającymi tego, co można już tylko oglądać na starych rycinach.

Niespokojny duch miasta

Właściwie kiedy zaczął się Wrocław? Oczywiście, można odpowiedzieć bardzo sztywno, zgodnie z regułą – wtedy, gdy po II wojnie światowej ustalono ostateczne granice nowej Europy, a więc i nowej Polski. Ale to tylko symboliczna data.

Był czas, gdy oba światy – Breslau i Wrocław ścierały się ze sobą. Breslau odchodziło do historii, gdy jego dawni mieszkańcy masowo opuszczali swoje domy. Odchodziło, gdy zdejmowano stare tabliczki z nazwami ulic i zastępowano je nowymi – polskimi. Odchodziło, gdy po wojnie wysadzano kolejne zniszczone budynki, które przetrwały tragiczne oblężenie. Mimo to Niemcy i Polacy przez krótki okres żyli obok siebie, choć z wyraźnym dystansem i strachem po obu stronach. I musieli się z tym pogodzić.

Breslau umarło, gdy wyjechali z niego ostatni przedwojenni mieszkańcy. Zmieniła się mowa, obyczaje, tradycje i kultura. To, co po nim zostało, to budynki, które przetrwały ostatnie miesiące wojny, setki pocztówek i starych fotografii. Dzięki nim breslauofile mogą się zastanawiać, jak to kiedyś wyglądało. Jak było – lepiej czy gorzej?

A może po prostu inaczej?

Mimo to, szczególnie po zmroku, gdy wyjdzie się na spotkanie ze starymi uliczkami i przyjrzy im się dokładnie, czuć tego ducha. Kręci się w bramach, patrzy oczami atlantów i kariatyd. Szumi między drzewami, ucisza ptaki i wiatr.

Tylko c z y j e g o ducha – terażniejszości, historii, Breslau czy wszystkiego na raz?

I chyba tym właśnie jest Wrocław. Atlantydą, zaginionym łodem przeszłości, niosącym w sobie znaki innego miasta, które istniało przed nim. Z którym jest powiązany nierozzerwalną nicią przeszłości.

MAŁGORZATA WIECZORKIEWICZ – 1 A

W artykule wykorzystano fragment książki Joanny Mielewczyk „Kamienice. Opowieści wrocławskich domów”.

Odchamidło

Porozmawiajmy

o kłownach

Jedną z najgłośniejszych premier filmowych tego roku jest bez wątpienia „Joker” Todda Philipsa z Joaquinem Phoenixem w roli głównej. Obraz opowiadający o jednym z najbar-dziej znanych przeciwników Batmana doczekał się wielu głosów zarówno pochwalających, jak i krytykujących. Razem z moim serdecznym przyjacielem, Piotrkim Tomaszewskim, równie zafiksowanym na punkcie sztuki filmowej, postanowiliśmy przeanalizować go i odnieść się do krytyki i zarzutów w jego kontekście.

KACPER J. KOWALSKI: - Jeśli mam być szczerzy, to nie wróżyłem „Jokerowi” sukcesu. Powiem więcej, jego wizja wydawała się bar-dziej nie-realna niż rzeczywistość. Po klęskach jakie DC odnosiło raz za razem, chyba najdotkliwszą będzie „Batman v. Superman”, nic nie zwiastowało, że zbrojny komedię wygra w najbliższym czasie Złoty Lew w Wenecji, nagrodę przyznają m. in. Kieślowskiemu, Altmanowi, Tarkowskiemu czy ostatnio Cuarónowi.

PIOTR TOMASZEWSKI: - Zgodzę się z tym, że Złoty Lew był olbrzymim pozytywnym zaskoczeniem. Natomiast muszę przyznać, że olbrzymie oczekiwania miałem wobec Jokera już chwili, gdy pojawił się jego pierwszy teaser z genialnym wykorzystaniem „Smile” Jim-mego Duranta. Ale abstrahując od strony technicznej, już ten dwuminutowy klip zapowiadał, że będziemy mieli do czynienia z czymś, czego w kontekście tej postaci jeszcze nie było. Nie pokazano wielu scen akcji, dużo było natomiast samego bohatera i zapowiedzi jego zmagania z najgroźniejszym czarnym charakterem, jaki kiedykolwiek pojawił się w kinie, czyli, przepraszam za truizm, bo w opiniach o nowym Jokerze to słowo odmiennie jest przez wszystkie przypadki, społeczeństwem.

Po otrzymaniu przez ten film Złotego Lwa i entuzjazmie krytyków oraz publiczności, przemieszanego z pojawiającymi się gdzieś głosami totalnej krytyki, mój hype był już niewyobrażalny. Do tego stopnia, że zrezygnowałem z pójścia na „Jokera” z koleżanką, aby trzy dni później, w godzinach, w których powinienem być w szkole, obejrzeć go samemu. Podejście niemal jak do jakiegoś rytuału. I w tej sytuacji najlepszym komplementem dla filmu Todda Phillipsa będzie chyba to, że przerósł moje oczekiwania.

KJK: - Ja tego tak nie odebrałem. Bałem się, że znowu nie wyjdzie. Zwłaszcza nazwisko Philipsa nie poprawiało sytuacji. Mimo iż lubię Phoenixa oraz... schizy jego bohaterów w „Mistrzu”, „Nigdy cię tu nie było” czy w „Spacerze po linie”, to producenci potrafili już zniszczyć świetnych aktorów. Przykładem niech będzie Jared Leto w pamiętnym „Suicide Squad”. A osobiście jestem często zwiastunoodporny, więc zapowiedzi „Jokera” nie nastrajały mnie optymizmem, zwłaszcza że wiem, co zachęca widza do pójścia do kina. Ten trend zaczął się w zasadzie od „Incepcji” Christophera Nolana. Zwiastuny montowane są ze zlepek scen, tak że nie przedstawiają nam historii, jedynie kli-

mat lub jego zarys. Jean-Luc Goddard twierdzi, że kino to kłamstwo powtórzone 24 razy na sekundę. Zwiastun jest w takim razie (moje słowa) jego koncentratem. Sytuacja się odwróciła u mnie dopiero po premierze w Wenecji i werdykcie. Wtedy dopiero zacząłem aż obgryzać pa-znokcie z przejęcia. Dzień przed seansem odsłuchałem muzykę z filmu. Hildur Guðnadóttir stanowi definicję niepozorności. Jak taka z wyglądu miła i sympatyczna osoba jest w stanie skomponować tak, z braku lepszych słów, niebezpieczną muzykę?

PT: - I jak Twoje wymieszane oczekiwania wypadły w zderzeniu z filmem?

KJK: - Zaczniemy od tego, że nie mogąc się doczekać seansu, poszedłem za radą Michała Walkiewicza i Kai Klimek z portalu filmweb.pl. Przeczytałem po raz kolejny "Zabójczy Żart", nie grałem w gry z serii Arkham, bo kończyłem je z cztery razy (oprócz ostatniej) i obejrzałem "Taksówkarza". Wchodząc na salę, miałem w głowie muzykę Bernarda Hermana. Film się zaczyna, pojawia się miła muzyka, czołówka rodem z musicali z lat sześćdziesiątych ("Parasolki z Cherbourg"), by zaraz potem dostać po głowie obrazem płaczącego kłowna, wiolonczelę i napisem "Joker". Czy mam mówić, co było dalej?

PT: - Tak...

KJK: - Jestem wielkim fanem "Sześciu stóp pod ziemią". Frances Conroy może nie wyszła poza "swoją strefę komfortu", ale to dla mnie nie problem. Jej Penny Fleck przypominała trochę starą, niedołązną Ruth Fisher, która tylko czeka na swój koniec. Zazie Beetz z kolei... mogę nie być szczególnie oryginalny pod tym względem, ale była jak starsza Zendaya. Oczywiście jeszcze Robert De Niro, czyli król komedii we własnej osobie (ach, ta au-toironia). Ale to się wszystko zmienia, wraz z głównym bohaterem. Potrzeba jednego złego dnia, jednego kiepskiego dowcipu. W teorii literatury wyróżnia się moment przejścia bohatera ze znanego w nieznanego jako ten kluczowy. Tutaj przekroczenie progu mamy w scenie w metrze i to jakiej. Wygląda na niepozorną. Widzieliśmy już Flecka wracającego do domu. Do tego mamy jeszcze trzech yup-pie pod wpływem zaczepiających jakąś kobietę. Kiedy ona odejdzie, ich ofiarą zostanie smutny kłown. I po chwili, gdy zatracają się w biciu go, pada strzał z broni, przez którą Fleck stracił pracę. W jego rękach zwykły rewolwer staje się wręcz boskim orężem. A przemoc uderza swoim naturalizmem. A najlepsze (najgorsze) są jej konsekwencje. Jak w "Historii przemocy" Davida Cronenberga, akcja rodzi reakcję. I po tym można poznać wartość dzieła.



PT: - Ciekawi mnie, że wspomniałeś o kilku rolach drugoplanowych (w kontekście De Niro, ciekawy jest też fakt, że gra on tu dokładne przeciwieństwo nie tylko tytułowego protagonisty, ale także Trávisa Bickle, czyli głównego bohatera "Taksówkarza" Scorsese, którego "Joker" nazywany jest współczesną wersją), nie wspomniałeś natomiast ani słowa o samym Jokerze. W przeciwieństwie do ciebie, nie czytałem komiksów, a w "Arkham..." grałem tylko przez chwilę. Moje wyobrażenie o Jokerze zostało więc ukształtowane głównie przez trzech aktorów. Jack Nicholson w 1989 stworzył więc najbardziej klasyczną wersję tej postaci - księcia zbrodni, mającego cięty dowcip na każdą okazję, nietrafcącego kontroli sytuacji ani uśmiechu ani na moment. O tym, co zrobił Heath Ledger po prostu nie ma co się rozpisywać. Wydawało się, że jego kreacja jest nie do przeskoczenia, w mojej prywatnej opinii nie tylko przez następnego aktora, jaki wcielił się w rolę Jokera, ale... przez jakiegokolwiek aktora grającego jakąkolwiek rolę w jakimkolwiek filmie! I co na ten temat uważali twórcy "Jokera". Ano doskonale zdawali sobie z tego sprawę! Ledger był nie do przebiccia, grając Jokera. Koniec. Kropka. Dla tego postanowili nakręcić film, który z dotychczasowym wyobrażeniem tej postaci wspólne ma tylko imię. Od poprzednich wersji, najnowsza różni się przede wszystkim tym, że faktycznie wnika w psychikę tytułowego bohatera. To jeden z niewielu przypadków w historii kina, kiedy złoczyńca jest zwalniany z odpowiedzialności za zło, które uczynił. Obwinia się - całkowicie słusznie, bo to ono kształtuje wszystkie nasze wybory - społeczeństwo. Szukający poczucia własnej wartości ludzie oddzielają grubą krechę nas "dobrych i porządnym" od "złych dziwadeł", dających im możliwość czucia się lepszymi. Następnie, gdy widzą dramatyczne skutki takiego postępowania w postaci masowych aktów przemocy, pławią się w błogim, nieświadomym samozadowoleniu i krzyczą: "Widzicie, mieliśmy rację!" Głęboko humanistyczne i aktualne to podejście. Trudno znaleźć lepszy przykład na potwierdzenie tezy, że nasze podejście do osób chorych psychicznie zaczyna się powoli zmieniać, niż ewolucja postaci Jokera z niebezpiecznego wariata w bohatera tragicznego. A kreacja Phoenixa? Życzę temu aktorowi Oscara.

KJK: - Zasłużył. Wielu zarzuca brak przeciwwagi w postaci Batmana. Słusznie?

PT: - A wiesz, że podsunąłeś mi właśnie świetny pomysł, jak mogłaby wyglądać kontynuacja "Jokera"? Odpowiadając na pytanie: czy w tym konkretnym filmie brakuje "Batmana" - nie. Dlaczego? Bo to film o "Jokerze"! Proste. Natomiast, ciekawym wątkiem w filmie Philippsa, jest pokazanie Thomasa Wayne'a, ojca Bruce'a, jako tego złego, reinterpretacja dotychczas ukształtowanej legendy, zburzenie kilofem mitu o nieskazitelnych rodzicach Batmana. Tak, jak myślałem dziś o tym, że Joker może rozpocząć ciekawy trend na pokazywanie filmowych złoczyńców od zupełnie innej strony, sądzę, że to samo można by zrobić z superbohaterami. Czy udany film, w którym to "Joker" byłby dobry, a Batman zły, nie byłby czymś fascynującym? Jasne, że tak i mam nadzieję, że twórcy zdecydują się kiedyś na tak radykalny krok. Zaryzykowałbym tezę, że "Joker" jest tym, dla uniwersum DC, czym "Ostatni Jedi" było dla świata "Gwiezdnym wojen" - świadomym (poniekąd) destylatem znanych motywów, przepisaniem dotychczasowej legendy, powiedzeniem faktycznie czegoś nowego. Mam nadzieję, że skoro żyjemy w erze remake'ów, rebootów i ciągłego odgrzewania kotletów, kolejne filmy z powszechnie znanych uniwersów będą szły właśnie w tym kierunku.

KJK: - Zauważ tylko, jak postrzegamy Jokera poprzez inne postaci. Wyśmiany w telewizji, odrzucony przez Wayne'a, odrzucony przez dziewczynę, maltretowany przez matkę. Oglądając to z perspektywy Jokera, czujemy ten sam ból co on, ale stojąc z boku, możemy dostrzec, że to właśnie inni ludzie (może poza Penny) re-prezentują pewną "względna normalność". I chyba najlepiej to wiadać w scenie zabójstwa nożyczkami, gdy Fleck dokonuje już normalnego dla siebie czynu i my także w pewien perwersyjny sposób mu kibicujemy, ale na twarzy Karla maluje się autentyczne przeżalenie, niezrozumienie. Joker staje się trochę jak Anton Chigurh z "To nie jest kraj dla starych ludzi", który rozsiewa zło już samą swoją obecnością. I trochę też jak Alex z "Mechanicznej pomarańczy", przez którą powstały prawdziwe gangi drugów.

PT: - Co do "względnej normalności" postaci drugoplanowych - oczywiście się zgadzam. To dość pesymistyczny wniosek, ale będąc sąsiadami Arthura Flecka, prawdopodobnie również nie przywiąza-libyśmy uwagi do jego życiowych porażek. Ludzie po prostu mają to do siebie, że lubią trzymać się na dystans od rzeczy, które odruchowo budzą ich odrazę. I co najciekawsze, to również nie jest ich wina. Dlaczego? Ponieważ, tak jak morderstwa dokonywane przez Flecka, ich brak empatii, to również postawa ukształtowana przez świat zewnętrzny. Tak jak "Joker" wręcz uderza w twarz bolesnym pokazaniem świata, tak niektórzy krytycy zarzucają mu, że ta wcale nieodkrywcza i prosta diagnoza to jedyne, z czym nas film zostawia. Zgadzasz się? Bo ja tak. Z tym, że "Joker" po prostu nie jest filmem, od którego oczekiwałbym nie wiadomo jak rozbudowanego przesłania. To jeden z tych filmów, w których absolutna bezpośredniość i prostota przekazu to olbrzymie atuty, bo po prostu wzmacniają jego siłę. Coś, jak z - wybacz porównanie - "Klerem", który również swoje przesłanie miał wypisane WIELKIMI LITERAMI, ale przecież o to właśnie chodziło.

KJK: - Wielu ludzi twierdzi, że "A Ghost Story" Davida Lowery'ego to oryginalna opowieść o umieraniu, przemijaniu, utraconej miłości, podana w oryginalnej, minimalistycznej formie w postaci prześcieradła z wyciętymi dziurami na oczy. Osobiście uważam, że oprócz nudy, ten film jest zwyczajnie odtwórczy i mało odkrywczy. Wim Wenders w "Niebie nad Berlinem" pokazał o wiele lepszy obraz nostalgii ducha. I znajdziemy analogie między tymi dwoma filmami. Ale w gruncie rzeczy, według Nietzschego, po Arystotelesie nie powstało nic nowego. Można traktować "Jokera" jako film fanatyka Martina Scorsese, ale bez tej dobitnej społecznej krytyki. Nie każdy film musi być od razu manifestem Kena Loacha. Owszem, "Joker" został pomyślany jako przekaz dla casualowego popykornojada, a czasem jego odtwórczy manifest wydaje się wręcz wykrzyczany, ale wskażcie mi film, który nie powtarzał już pewnych prawd. Czasami też mowa ptaków bywa lepsza od "I have no mouth, and I must scream". Bo podtekst bywa często na

tyle złudny i złośliwy, że możemy często wręcz pokusić się o nadinterpretację. Niech co trzecia recenzja "Romy" posłuży za przykład. I to też działa na korzyść dla krytyków. Łatwiej jest wytykać błędy, które widać na pierwszy rzut oka, jak w do bólu stronicznych "120 uderzeniach serca".

PT: - Na podsumowanie... jaka scena w "Jokerze" sprawiła, że twoje „kinofilskie” serce zabiło najmocniej? W moim przypadku będzie to nieprawdopodobne nawiązanie do "Sieci" Sidneya Lumeta. Podobnie jak tam, tak i tu po morderstwie znanego telewizyjnego showmana, kamera oddala się od kilkudziesięciu ekranów, z których każdy wyświetla inny program informacyjny. Wszystkie informują jednak o tragedii spowodowanej przez głównego bohatera. Kino w stanie czystym - co jak co, ale po gościu od "Kac Vegas" nie spodziewałem się takiej reżyserskiej klasy.

KJK: - Ja się już wypowiedziałem - zdecydowanie scena w metrze. Szukałem szczęki pod fotelem. Pod względem znaczenia dla całej historii, to bodaj najważniejsza w całym filmie. No i oczywiście zabicie matki - "Lot nad kukułczym gniazdem", tragedia grecka, no i życiorys Nerona.

PT: - Co do Phoenixa zasłużył. Myślę, że jesteśmy w tym jedno-głośni - "Joker" jest filmem wielkim! Dzięki za dyskusję i obyśmy mieli więcej powodów do zachwyty przy następnych produkcjach DC!

KJK: - Miejmy nadzieję. Zwłaszcza, że Selinę Kyle została Zoe Kravitz.



Znak nasz Batory

Myśliwiecka 6 w Warszawie. Adres nic nieznaczący dla Was, mieszkańców Wrocławia, a dla nas, Batoraków, bardzo ważne miejsce.

Nasz drugi dom.

Przez sto lat

Niełatwo krótko opisać historię II Liceum Ogólnokształcącego im. Stefana Batorego w Warszawie. Dzieje szkoły i jej uczniów oraz absolwentów to dzieje burzliwe. Szkoła powstała 1 września 1918 roku jako idealna, wzorcowa placówka. Została nowoczesnie wyposażona, uczniowie przeszli rekrutacyjną rozmowę z dyrektorem, zatrudniono świetnych nauczycieli (m. in. języka polskiego uczył Stanisław Młodożeniec, autor słów hymnu szkoły, którego fragment służy nam za tytuł). Potem przyszła wojna. Uczniowie uczęszczali na tajne komplety, na których wielu z nich zdawało egzamin maturalny. Ci, którzy napisali maturę przed wybuchem wojny, walczyli na wszystkich frontach tamtego konfliktu. Janek Bytnar "Rudy" i jego koledzy z rocznika tworzyli Szare Szeregi, Grupy Szturmowe i później słynny Batalion Zośka. Wielu z nich poległo, część z nich została odznaczona orderem Virtuti Militari. Początek PRL-u oznaczał ciężki, często pomijany aspekt historii Batorego. Budynek szkoły był zniszczony. W latach 50. szkołę zlikwidowano na krótki czas. Uczniowie często protestowali na korytarzach, jednego z nich milicja wyprowadziła ze szkoły w kajdankach. Na szczęście szkoła odżyła. W 2003 powstało muzeum szkolne, dwa lata później otworzono pierwszą klasę z programem IB. W 2006 roku uczniowie zorganizowali pierwszy Unikatowy Festiwal Offowy i założony został "Batorak". W ostatnim roku szkolnym obchodziliśmy nie tylko sto lat niepodległej Polski, ale i sto lat Batorego.

Wyrazić siebie

Każdy rok szkolny przynosi uczniom nieprzespane noce, momenty bezsilności i zwątpienia czy zawody, jednak trudno wyobrazić sobie lepszą szkołę, a tym samym - lepsze środowisko do rozwoju. Liceum im. Stefana Batorego jest miejscem, do którego uczniowie i nauczyciele przychodzą z uśmiechem na twarzy, czują się bezpiecznie. Można zaleźć tu lojalnych przyjaciół, którzy będą wspierać Cię w trudnych chwilach. Jest też możliwość uczestnictwa w jedynych w swoim rodzaju wydarzeniach organizowanych z inicjatywy uczniowskiej. Lecz przede wszystkim można stać się częścią wspaniałej wspólnoty, jaką są Batoracy - ludzie inspirujący, motywujący się nawzajem do ciężkiej pracy i rozwijania swoich pasji. Z każdym kolejnym rokiem do kalendarium przybywa coraz więcej eventów będących owocem naszej kreatywności i zapału, wspieranych przez swoich oddanych nauczycieli. W Warszawie znani jesteśmy z organizacji Wawmuna (tj. modelu obrad ONZ), festiwalu muzycznego UFO, na którym debiutują aspirujący muzycy z licznych liceów warszawskich oraz Ogródu Sztuk, podczas którego Batoracy dają wyraz swojej indywidualności i bujnej wyobraźni, wykorzystując do tego taniec, śpiew, grę aktorską oraz inne formy artystyczne. Gorąco zachęcamy Was do odwiedzenia stolicy, a przy okazji wybrania się na jedno z tych wyjątkowych wydarzeń w naszej szkole. A co przyniesie kolejny rok? To się dopiero okaże. Mimo to mamy nadzieję, że będzie to okres rozkwitu "Batoraka" i owocnej współpracy z innymi gazetami.



**Antonina Mazurek i Ewa Siemiątkowska,
redaktorki naczelne "Batoraka"**

**„POLITECHNIK JUNIOR”
PERIODYK AKADEMICKIEGO LICEUM
POLITECHNIKI WROCŁAWSKIEJ**

Redaktor naczelny: Kacper Kowalski.

Zastępca red. naczelnego: Maksymilian Skica,
Małgorzata Wieczorkiewicz.

Sekcja filmowa: Maciej Proćków, Mateusz Torski.

Technicy komputerowi: Michał Jagodziński,
Kamil Janowski.

Opiekun pisma: Wojciech Walczak.